Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 19.

dnia 10. Kwietnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIV.

STERN STAWIA SWOJĄ KANDYDATURĘ.

Prawdę powiedział pan Gozdawa swojemu synowi, gdy ten z Paryża przyjechał, że pieniądz toczy się jak szalony. Jeżeli u kogo można było zrobić takie postrzeżenie, to najpierw u niego. W ręku właściciela Starejwsi pieniądz nigdy się nie zagrzał, zaraz w świat leciał nowych szukać panów. Są ludzie, którzy stosunkowo z małemi dochodami umieją żyć przyzwoicie, nawet dostatnio; są drudzy, którzy mimo znacznej fortuny wiecznie skarżą się na brak pieniędzy i często gęsto nie mają czem opędzić potrzeb najważniejszych. Ci drudzy o tyle jeszcze są nieszczęśliwsi, że przyzwyczajeni mieć zawsze tyle, ile potrzebują, w razie gdy im braknie, biorą pieniądze zkąd się da, byle były. Do tych należał pan Władysław Gozdawa.

Niegdyś, jak to wiemy z jego własnego opowiadania, miał znaczniejszą gotówkę po sprzedaży majątków na Mazurach; później indemnizacja za pańszczyznę przyniosła mu blisko sto tysięcy, w nowszych zaś czasach wyrębywał lasy i tem się ratował. Odkąd jednak wyczerpały się wszystkie owe źródła i została jedna tylko ziemia, począł chromać coraz bardziej, i gdyby nie pomoc pana Lachockiego, Starawieś byłaby już niewątpliwie poszła na licytację. Pan Gozdawa umiał wziąć z banku Hipotecznego 100.000 guldenów, ale rat płacić nie umiał, nawet nie wiedział jak one są wysokie i ile powinien ich składać do roku.

Gdzie pieniądze podziewał? O to napróżno pytalibyśmy jego samego. Wprawdzie dom na większą stopę prowadzony dosyć kosztował, w każdym jednak razie nie tyle, żeby jego wydatków taki śliczny majątek jak Starawieś nie mógł pokryć spokojnie. Nam się zdaje, że pan Gozdawa nie równie więcej wydawał za domem niż w domu. Za lat młodszych, pochłaniały niemało piękne kobietki, za któremi przepadał i z któremi po Europie lubił podróżować; teraz, gdy fantazja trochę go opuściła, lubił tylko do stolicy przyjechawszy dawać śniadanka dla przyjaciół i wista grywać w kasynie. A grał wysoko, tak że różnica wynosiła czasem jednego wieczoru kilka set guldenów, i nigdy się nie zdarzyło, żeby wygrał. Pieniędzy w ten sposób wydanych nie tylko nie żałował, owszem wychodząc z kasyna, tym, którzy go ograli, serdecznie dziękował, że w ich towarzystwie tak dobrze się zabawił.

Pan Gozdawa o przyszłości nigdy nie myślał i gdyby go kto zapytał: co będzie jutro? odpowiedziałby bez namysłu, to samo co jest dziś i co wczoraj było. Tego, by mu kiedyś mogło majątku braknąć, ani przypuszczał. Może byłby innego nabrał przekonania, gdyby wziąwszy kredkę zaczął był choć raz liczyć, wszakże o czemś podobnem nie było mu nawet można wspomnieć. On rachunków nie cierpiał antypatycznie, i wcale się z tem nie taił.

Odkąd Ryszard do kraju wrócił, rzadziej do stolicy wyjeżdżał i chętniej w domu przesiadywał; jednakowoż mimo że prowadził życie anachorety, wszystkie dochody ze Starejwsi i folwarków przyległych leciały w otchłań niewidzialną, śladu po sobie nie zostawiając.

Stern zupełnie inaczej postępował niż pan Lachocki. Właściciel Wiewiórki chciał przez zaprowadzenie wielkiej oszczędności dźwignąć sąsiada; przeciwnie właściciel Ludaczowa przemyśliwał jedynie nad sposobami jakby panu Gozdawie przyjemność sprawić. Dzięki tej taktyce, na podwórzu pojawiły się znowu legjony indyków, kupionych za drogie pieniądze; w stajni rżały jak dawnej konie cugowe i wierzchowe, każde zamówienie Moszko odbierał na kolei i gotówką za nie płacił; krótko mówiąc, wszystko szło jak za czasów najlepszych. Za małośmy powiedzieli. Nigdy jeszcze tak dobrze nie było, jak właśnie teraz, za administracji Sterna. Niegdyś musiał pan Gozdawa myśleć sam o gospodarstwie, odbierać raporty od ekonomów i leśniczych, suszyć sobie głowę zkąd wziąć pieniędzy; teraz, jakby po dotknięciu laską czarodzieja, wszystkie te przykrości na wieki pierzchły, i został spokój, *dolce far niente*, przeplatane wycieczkami do miasta, a tam wiścikiem i śniadankami w miłem towarzystwie. Tylko jeden raz w tygodniu, mianowicie każdej soboty po szabasie, Moszko przychodził do „jaśne pana“ z długim wykazem całotygodniowych wydatków, a krótkim dochodów, i podawał mu go do podpisu. Kilka razy zdarzyło się, że właśnie był przytem Ryszard. Wziąwszy z rąk żyda kwity i rachunki, zaczął je ściśle trutynować i tu i owdzie znajdował niedokładności; Moszko tem zaniepokojony, rzekł raz do samego właściciela:

— Że też jaśnie pan pozwala paniczowi rachunki przeglądać, to tak z przeproszeniem honoru jaśnie pana wygląda, jakby jaśnie pan sam się na nich nie rozumiał!... Tymczasem daj Boże żebym ja miał taką głowę, jaką ma jaśnie pan... *a fein kepele!* Paniczowi tylko tak się zdaje, że on wszystko wie... No, prawda, on bardzo uczony, lecz na gospodarstwie co on się może znać? Jaśnie pan to co innego, przecie jaśnie pan gospodarz doświadczony!

Uwagi Moszka trafiły do przekonania panu Gozdawie, ale ponieważ, jak wiemy, żenował się trochę syna, więc odtąd każdego tygodnia ukradkiem rachunki podpisywał, tak że Ryszard więcej ich nie widział.

To, że się syna wstydził, i główne sprawy załatwiał przed nim w tajemnicy, instynkt bowiem mówił mu, że pod jego zarządem nie wszystko dobrze się działo, było w obecnem położeniu złem najgorszem. Gdyby z Ryszardem postępował otwarcie, po przyjacielsku, gdyby mu powiedział: Widzisz synu że jest źle, staraj się jednak żeby lepiej było! — nie wątpimy, że młody nasz przyjaciel byłby jeszcze nie jedno naprawił, gdy przeciwnie teraz był bezsilnym w obec wypadków, które jak lawina szybko się zbliżały. Fałszywy ten wstyd prawdopodobnie ztąd pochodził, że jako człowiek w gruncie uczciwy, poczuwał się do obowiązku zostawienia jedynakowi rodzinnego majątku w całej jego dawnej świetności, tymczasem w skutek wypadków nieprzewidzianych, jak sam utrzymywał, głównie zaś przez Bismarka, który całej Europie kazał się zbroić, z fortuny niegdyś znacznej, dosyć ubyło. Otóż ten ubytek pragnął wpierw uzupełnić, a dopiero potem zamierzał synowi opowiedzieć, jak to niegdyś źle było. Drogą, do tego celu nieomylnie wiodącą miała być administracja Jakóba Sterna...

Ryszard widział co się dzieje i na co się zanosi, wszakże długo ojcu żadnych uwag nie robił. Najpierw nie chciał mu sprawiać przykrości, powtóre bał się, by ojciec nie przypuszczał, że dla tego z opozycją występuje, iż mu idzie o pieniądze. Jeżli nasz przyjaciel miał co na myśli, z pewnością nie był nim majątek. Wiemy, że nie pragnął go dawniej, tem mniej tęsknił dziś do niego, kiedy po matce odebrał kilkadziesiąt tysięcy, i skoro jako lekarz mógł każdej chwili znaleźć kawałek chleba uczciwego. Jeżli go co niepokoiło, to przyszłość ojca, o czem już w Paryżu myślał... To też aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, zebrał się raz na odwagę i przyszedłszy do ojca, gdy ten pił czarną kawę, najpierw w rękę go pocałował, potem tak przemówił:

— Spodziewam się, że kochany ojciec za złe mi nie weźmie, jeżli ani proszony, ani do tego upoważniony, pomówię dziś trochę o interesach. Sądzę jednak, żem powinien to uczynić nie tylko jako syn, lecz także jako szczery ojca przyjaciel...

Pan Gozdawa cybuch z ust wypuścił, wypił trochę kawy, ale że się zakrztusił, więc odkaszlnął i jąkając się odpowiedział:

— Proszę cię sercuńciu... mów... mów.

— Kiedy kochany ojciec pozwala, więc zacznę od rzeczy najważniejszej, mianowicie od Sterna. O ile układ z panem Lachockim poczytywałem za zbawienny, o tyle stosunek ze Sternem uważam za zgubny.

— Co... co mówisz sercuńciu?

— Mówię że pan Lachocki byłby Starąwieś ocalił, przeciwnie Stern do reszty ją zniszczy i w końcu sam zostanie jej właścicielem.

Młody nasz przyjaciel zbyt ostro wziął się do rzeczy; z człowiekiem, jak pan Gozdawa, nie byłoby zaszkodziło więcej dyplomacji. To też skutek był przeciwny zamierzonemu. Ojciec zamiast się przestraszyć, z gniewu poczerwieniał i dość szorstko odparł:

— Przeżegnaj się sercuńciu i weź Boga na pomoc, bo ponoś sam nie wiesz co pleciesz. Lachocki mnie ratował, a Stern mnie gubi! Oto mosterdzieju racja fizyka, Kaśka butów nie ma. Przecie na to nie trzeba filozofji, żeby poznać różnicę między postępowaniem tych dwóch ludzi... Tamten żałował mi już kawałka indyka i ręczę że do dziś dnia byłby mnie dawno z domu wypędził, ten postępuje jak obywatel, jak przyjaciel! Czy odkąd Moszko gospodarstwo prowadzi, zauważałeś sercuńciu żeby nam czego brakowało?

Syn wysłuchał przemówienia nie przerywając. Dopiero gdy ojciec w głębokiej wierze, iż go przekonał, odsapnąwszy raz i drugi, fajkę sobie zapalał, która zgasła, Ryszard tak przemówił:

— Kochany ojciec wierzy, że Stern pracuje dla jego dobra, ja zaś mam niezbite w ręku dowody, że on tylko zgubę ojcu przyspiesza.

— Co... zgubę mi przyspiesza?

— Tak jest kochany ojcze, i oto w jaki sposób: Pan Lachocki objąwszy administrację, uiścił najpierw zaległe raty bankowe, następnie zapłacił długi pomniejsze, w końcu wziął się energicznie do gospodarstwa i oszczędności. Obliczenie jego było bardzo proste, przytem nieomylne. Ponieważ Starawieś, jeśli gospodarstwo jest w niej porządne, przynosi rocznie około 20.000 guldenów, amortyzacja zaś długów i wkładów pana Lachockiego wraz z utrzymaniem naszego domu, miała przez lat 12 około 19.000 rocznie wynosić, przeto nic dziwnego, że nie mógł ojcu na wydatki osobiste więcej dawać niż 800 guldenów, i że wszędzie oszczędności zaprowadził. Za to po upływie lat 12 kochany ojciec byłby Starąwieś czystą odebrał.

— Kto tam wie mosterdzieju, czybym był doczekał!

Syn zmięszawszy się tym wykrzyknieniem dalej mówił:

— Wręcz przeciwnie Stern postępuje. On tak sobie powiedział: Panu Gozdawie będę oddawał wszystkie dochody, ma się rozumieć krom tych, które ugrzęzną częścią w mojej, częścią w Moszka kieszeni, długów zaś wcale nie będę spłacał... Niech raczej rosną odsetki i procenta zwłoki, abym kiedyś, gdy się miarka przebierze, mógł sięgnąć po Starąwieś jak po owoc dojrzały...

— Rysiu, co ty pleciesz?... Gdzie na to dowody mosterdzieju?

— Dla mnie ojcze kochany najlepszym dowodem są cyfry. Ponieważ wiem, ile Starawieś może przynieść, a widzę ile się tu wydaje, przeto nie trudno mi odgadnąć, jaki tego będzie koniec. Zresztą za ostatniej mojej bytności w stolicy, dowiedziałem się od pewnego urzędnika bankowego, że Stern ostatniej raty nie zapłacił.

— Bo nie mógł zapłacić sercuńciu. W lecie zdawało się, że będę miał najmniej 1.200 korcy pszenicy. Stern, jak wiesz, chciał nawet z góry 1000 korcy zapłacić, tymczasem po omłóceniu okazało się, że jest tylko 480! Nieurodzaj mosterdzieju i kwita. Wśród takich stosunków trudno raty bankowe płacić regularnie, lecz to nic nie szkodzi. Stern mówił mi, że z dyrektorami zna się bardzo dobrze, więc poczekają i skarżyć nie będą. Widzisz sercuńciu co to za człowiek, on wszędzie ma przyjaciół; każdy coś dla niego uczyni... Gdzie by to Lachocki potrafił! On, aby bank zapłacić, byłby mi mosterdzieju odjął jedną potrawę z objadu.

Ryszard widząc, że ojciec jak ćma w płomień leci, sięgnął po broń ostatnią.

— Ponieważ mi trudno kochanego ojca przekonać — rzekł — więc może choć to poskutkuje, co mu teraz chcę zaproponować. Wiadomo ojcu, że do gospodarstwa nigdy nie miałem zamiłowania, ani nawet pociągu, boć od dziecka zawsze sobie myślałem, że w mieście żyć będę; z tem wszystkiem jednak jestem gotów na wsi stale zamieszkać, zakasać rękawy i wziąć się do pracy, jeśli się tylko przekonam, że moja pomoc przyda się na co... Mam po nieboszczce matce kilkadziesiąt tysięcy, z których dotąd nie wiele się rozeszło, z największą tedy chęcią oddam wszystko Sterna spłacając, byle raz skończyło się to gospodarstwo. Sądzę, że kochany ojciec widząc co chcę uczynić, chwili teraz nie będzie wątpił o słuszności moich obaw... Gdybym przypuszczał, że Stern ocali Starąwieś, z pewnością dla kaprysu, aby się go pozbyć, nie zrywałbym z karjerą, czy to lekarza czy też pro-

fesora, którą w mieście mogę znaleźć, lecz ja niestety jestem najgłębiej przekonany, iż on ojca zgubi.

— Nie bój się sercuńciu, nie bój! — pan Godzawa odpowiedział. — Przecie ja mam głowę na karku i wiem co robię. Djabeł nie taki czarny mosterdzieju jak go malują, i my się w kaszy zjeść nie damy. Bądź więc spokojny mój Rysiu, a za to, coś chciał uczynić, niech cię uściskam mój chłopcze. — Tu objął syna i w czoło ucałował. — Serce masz złote, jak wosk mosterdzieju, ale mówiąc między nami jesteś trochę tchórzem podszyty, no i jako młody nie możesz mieć jeszcze doświadczenia. W interesach sercuńciu to człowiek ani wie kiedy się co naprawi. Wczoraj źle, dziś jeszcze gorzej, jutro bęc mosterdzieju i wszystko jak najlepiej. Dziękuję ci raz jeszcze sercuńciu, ale ofiary twojej nie mogę przyjąć... Gdy ś. p. matka twoja umierała, przyrzekłem jej uroczyście, że z pieniędzy twoich nigdy grosza nie wezmę i przysięgi dochowam. Ty sercuńciu miej dla siebie, ja zaś mosterdzieju z pewnością się wygramolę!

Po takiej odpowiedzi, Ryszardowi nic więcej nie pozostało, jak ojca w rękę ucałować i odejść do swego pokoju. Tak też uczynił i odtąd Starąwieś uważał za straconą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W chwili skonu.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego wieczora przybył z Avignonu kadet Beauregard ze smutną wiadomością, iż adwokat Loubet, zabił w pojedynku kapitana Hektora de Lansac.

Marjus Magis jak zawsze ciekawski, przyleciał jeden z pierwszych do pomieszkania kapitana, gdzie wkrótce i więcej próżniaków się znalazło, komentujących i roztrząsających szczegóły towarzyszące temu wydarzeniu tragicznemu, a tak tajemniczemu. Osłupienie i zdziwienie doszło do punktu kulminacyjnego, gdy Beauregard honorem zaręczył, że piękna Loubeta, która znikła od dwóch tygodni, nie tylko że się z kapitanem nie zabrała, lecz nawet na ostatnią schadzkę się nie stawiła. Jedni utrzymywali, że uwiódł ją zapewne inny oficer od półku *royal-comtois*; lepsi — a była ich garstka nader mała — przypuszczali, że schroniła się do klasztoru, i tam we włosiennicę obleczona, pokutuje za grzechy popełnione.

Najwięcej szastał się i rozprawiał Marjus, chcąc sobie nadać pewne znaczenie i stać się w tej całej sprawie niezbędnym. Pomagał w spisywaniu inwentarza, który atoli nader szczupłym się okazał; liczył i podsumowywał długi nieboszczyka, przewyższające, jak zwykle u takich paniczów, wykaz majątku. Wtedy Beauregard wspomniał nieśmiało o istnieniu domku na przedmieściu, który sprzedawszy, można będzie bilans wyrównać.

Nazajutrz rano kadet i notarjusz udali się do owego ogródka, gdzie od nocy świętojańskiej niczyja jeszcze noga nie postała. Czyż potrzebujemy wspominać, że Marjus od świtu czyhał na ten pochód, i umiał się wkręcić pod pierwszym lepszym pozorem?

Ogród dotąd był w pełnym rozkwicie. Słowik umilkł już wprawdzie, lecz inne ptaszki wesoło świegotały. Deszcz w nocy padał, więc cała roślinność była odświeżona, bujniejsza.

— Biedny kapitan! — westchnął Beauregard — pewno się nie spodziewał tak rychłego końca, gdyśmy razem, dwa tygodnie temu, ogród ten oglądali. A jednak, jakby miał złe przeczucie, żegnał czułym wzrokiem każdy klomb z osobna. Miłeż bo on tu chwile przeżył, miłe!

— Istna świątynia bożka Kupidyna — wtrącił jak zawsze pompatycznie Marjus. — Czy też wnętrze domu odpowiada temu czarownemu ogrodowi?

Zawezwano ślusarza. Na przodzie był notarjusz i Beauregard; a przez ich ramię wyciągał szyję jak żuraw, Marjus ginący z ciekawości.

Nagle, gdy drzwi otworzono, okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi bliżej stojących, i tak gwałtownie w tył się cofnęli, że Marjus zaledwie miał czas zza drzwi uskoczyć. Odór mefityczny, uderzył z wnętrza domu, z taką siłą, że nim odurzeni i przerażeni, nazad do ogrodu uciekli.

— Oderwać okiennice, otworzyć okna, lub szyby wytłuc — kadet zakomenderował — tam wejść niepodobna. Można się udusić!

Ślusarz rozkaz wykonał. Skoro oderwał okiennice, spojrzeli w głąb domu. Straszny widok oczom ich się przedstawił. Obok kominka marmurowego, w salce nie wielkiej, lecz wytwornie urządzonej, leżał twarzą do posadzki w zupełnym już rozkładzie, straszny, potworny trup kobiety. W około czerniała kałuża krwi skrzepłej. Wszystkim obecnym włosy się ze strachu na głowie zjeżyły, i słowa wymówić nie mogli.

Pierwszy Marjus odzyskał dar mowy; jego język musiał się ciągle obracać jak na kołowrotku.

— To Loubeta! — krzyknął tryumfująco. — Poznaję jej suknię. Na Zielone Święta, miała ją pierwszy raz w kościele. Przysięgnę że to nikt inny, tylko piękna Loubeta! Ale panowie, nie mamy tu co robić. Trzeba wezwać władzę odpowiedną...

Niedługo potem sąd badał na miejscu, jakim sposobem i przez kogo zbrodnia mogła być popełnioną. Trup miał nóż maurytański wbity w piersi po samą rękojeść, a we krwi zastygłej leżała czarna, damska mitenka z jedwabiu, na drutach robiona.

Nóż, podług zeznania Beauregarda, należał do pana de Lansac.

Wszyscy byli w niemem oczekiwaniu, kto tę zbrodnię mógł popełnić. Niektórzy posądzali o nią samego kapitana.

— Nie odstępowałem go przez całą noc świętojańską — bronił z zapałem pamięć przyjaciela młody kadet. — Razem nawet przyszliśmy na *rendez-vous* z piękną Loubetą. Przypominam sobie, jakby to dziś było, że ją wołał; wszedł nawet do domu, lecz nie mając z sobą świecy, cofnął się od progu. Pamiętam i to, że na jego powiedzenie „jak tu duszno“ odrzekłem — „prawda, oddycha się ciężko, jakby parą z krwi świeżej“. Panowie! jestem pewny, że Loubeta już wtedy leżała tu zamordowana, tylko my jej w ciemności nie spostrzegli.

W tej chwili zaczął Marjus tłum roztrącać. Stanął przed sędziami, blady, z włosem rozwianym, a kładąc rękę na serce, tak mówić zaczął, wśród milczenia grobowego:

— Ja wiem kto ztąd wychodził wieczór przed św. Janem, około godziny dziesiątej... Wiem kto zbrodnię popełnił... Była nią Katarzyna Loubet!.. Jestem gotów podać bliższe szczegóły, i podpisać moje zeznanie przed wysokim Sądem!...

IV.

Pałac Sprawiedliwości w mieście Aix, był to gmach okazały, którego część najnowsza, już także brzemię kilku wieków na sobie dźwigała.

Trzy wieże starożytne wznosiły dumne czoła, po nad murami od starości poczerniałemi; najwyższa, nazywana powszechnie wieżą zegarową, było to wspaniałe mozoleum, postawione jednemu z rzymskich patrycjuszów, który umarł w kolonji, ufundowanej przez cesarza nazwiskiem Caïus Sextus. Dawni panowie wcisnęli ten monument w obręb swego pałacu, i jego tylko nie potrafiły zniszczyć hordy barbarzyńskie, których napady zatarły ślady ostatnie cywilizacji starożytnej. Wszystkie jednak wspaniałości tego siedliska, przez Bérenger'ów wzniesionego, a zamieszkałego przez króla René d' Anjou, dawno się skończyły; i w tych samych salach gdzie niegdyś wydawano wyroki pełne rycerskiej galanterji, w tak nazwanych *cours d' amour* (sądach miłości), obecnie parlament prowancki odbywał posiedzenia.

Rozmaite instancje sądowe, miały swoje więzienia we wnętrzu pałacu; najmniej ponurą była celka na drugim piętrze wieży zegarowej. Tam przynajmniej w godzinie południowej słońce zaglądało, i słyszało się jak zegar godziny wydzwaniał.

Od lat wielu, pająki snuły tam w spokoju niczem nie zamąconym swoją siatkę misterną; jaskółka budowała gniazdko w rogu okna, źle osłoniętego cienką kratą drucianną, a w szczelinie muru pękniętego, wiatrem naniesiona, kwitła żółta lewkonja.

Tam to osadzono Katarzynę Loubet, po pierwszej nocy spędzonej w okropnem więzieniu podziemnem.

Urządzenie dla niej tej celki, nie wiele trudu kosztowało. Pod jedną ścianą stał tapczan tak wązki, iż podobny był raczej do trumny na kozłach opartej, niż do łóżka z nogami; do ściany przybito kropielnicę i krucifiks; pod oknem umieszczono stół o trzech nogach, pod nim stał dzbanek z czarnej gliny z wodą i chleba kawał; na stole leżało kilka ksiąg nabożnych, i jeden stołek drewniany dopełniał smutnego sprzętu tej celi więziennej.

Aresztowana siedziała na środku izdebki świeżej i chłodnej jak piwnica; promień słońca wpadał ukośnie, i tworzył nad jej głową, krąg świetlany, wyglądający jakby aureola na świętych obrazach. W jej postawie, pełnej cichej melancholji, znać było wielkie ducha skupienie; zbladłą twarzyczkę opierała na dłoni; usta jej poruszały się bez dźwięku; czytała po cichu z księgi na kolanach rozłożonej. Były to Świętych Żywoty.

Długo, bardzo długo zajęta była wyłącznie czytaniem; wreszcie wzrok jej przebijając kraty więzienne, wzniósł się ku niebu. Jaskółka wychylała główkę aksamitną przez otwór gniazdeczka; jakąś chwilę kołysała na niem swoje śliczne i delikatne ciałko, pokryte lśniącemi piórami; nakoniec przez otwór w kracie z łatwością się przecisnąwszy, skrzydła otworzyła, i wzbiła się w powietrzne etery. Krzak lewkonji, choć nędzny, zaledwie odrobiną ziemi żyjący, zdobył się na kilka kwiatów, które ciekawie w okno zaglądały, wonią swoją izdebkę napełniając. Oczy Kasi w niebo wzniesione łzy teraz zaćmiły.

Za chwilę później drzwi więzienne otworzyły się z tym złowrogim łoskotem wrzeciądzy i kłódek odmykanych, które takim dreszczem śmiertelnym przejmuje z początku nieoswojone z nim ucho więźnia. I młode dziewcze odwróciło główkę z przestrachem, w niemem oczekiwaniu, tego, co miało nastąpić. Struchlała na myśl, że przychodzą, by ją przed sądem postawić! Odezwał się na progu głos cichy a poważny.

— Bóg niech będzie z tobą, Katarzyno,

— Ojcze Atanazy, to ty, ty! — zerwała się drżące ramiona ku niemu wyciągając. — Więc i tu o mnie nie zapomniałeś? Myślałam że nikogo, nawet mojego spowiednika, nie wpuszczą do tego więzienia straszliwego.

Ojciec Atanazy był to stary Trynitarz; duch prosty a bogobojny. Nie słynął wymową błyskotliwą, ani

mądrością według świata — maluczcy atoli, czcili go za dobroć serca anielską i żywot prawdziwie świątobliwy.

— Moja córko — słodko przemówił, obejmując Kasię wzrokiem pełnym rzewności i współczucia — wiedziałem że mnię potrzebujesz. Otrzymałem od pana prezydenta pozwolenie, odwidzenia ciebie, zanim staniesz przed sądem. Przychodzę, by wysłuchać twojej spowiedzi. Gdy oczyścisz sumienie przez sakrament pokuty, lżej ci przyjdzie stanąć przed ludzi trybunałem. Oni trzymają w rękach li życie twoje doczesne; od Boga zaś wyroku, zależy twoje wieczne zbawienie.

— Jedyna to moja pociecha i nadzieja Ojcze drogi. Przyszedłeś mnię spowiadać; jestem gotową. Niestety! miałam czas od wczoraj zrobić ścisły i dokładny rachunek sumienia.

Mnich usiadł na jedynym stołku, który w kaźni się znajdował; Kasia obok uklękła i ze złożonemi rękami odmawiała z cicha *Confiteor*. Ojciec Atanazy modlił się również gorąco, widać to było w jego oczach, mgłą zaszłych. Niemym ruchem wskazywał penitentce krucyfiks, zachęcając do szczerego wyznania, w imię Tego, który aby okupić grzechy całego świata, haniebną karę — sam będąc Najświętszym — na krzyżu poniósł. Ona jednak milczała.

— Moja córko — łagodnie ją napomniał — jesteś u stóp Boga samego. Miłosierdzie Jego większe niż grzechy całego świata. Nie trwoż się więc i wyznaj wszystko.

— Ojcze — z pokorą odrzekła — miesiąc temu dałeś mi absolucję. Było to w niedzielę przed św. Janem. Odtąd — ciszej dodała — żadnego grzechu nawet powszedniego, przypomnieć sobie nie mogę.

Mnich spojrzał jej w oczy surowo, i znowu przemówił głosem drżącym z oburzenia:

— Pamiętaj, że mówisz do spowiednika, a nie do sędziów twoich, i stoisz przed trybunałem Boga, który najskrytsze myśli przenika.

— Wierzę w to święcie mój Ojcze; w Bogu też cała moja nadzieja. Oskarżają mnię o zbrodnię ohydną, wszystko świadczy przeciw mnie, obrzucają mnię hańbą niezasłużoną. Sąd gotuje się by mnię potępić nieodwołalnie; lecz zabita przez ludzi, stanę czysta i bez grzechu przed Bogiem. W tem błogiem uczuciu czerpię siły i jedyną pociechę.

Oko dziewicy było tak spokojne; taka jasność biła z jej czoła, w słowach jej była taka rzewna prostota, że mnich zadrżał w głębi duszy i zmieniając nagle przekonanie, przeszedł z roli spowiednika, do roli doradcy i adwokata.

— Moje dziecię, usiądź tu przy mnie — to mówiąc podniósł ją z ziemi i na tapczanie posadził. — Zaklinam cię na imię Zbawiciela, nie ukrywaj nic przedemną! Odpowiadaj na moje pytania bez trwogi i bez ogródki. Okropne szczegóły obciążają istotnie sprawę twoją... Gdzieś była wieczór przed św. Janem?

— Nigdzie. Na chwilę ciotki mojej nie opuściłam...

— Wiesz przecie co mówi Marjus Magis?

— Wiem, bo mnię z nim konfrontowano — rumieniec oburzenia oblał jej bladą twarzyczkę. — Cóż mogłam jednak przeciwstawić temu kłamstwu niegodziwemu, które mię bezcześci i na rusztowanie wiedzie? Prawdę jedynie. Ale jak ją udowodnić?

— Czyż niema nikogo; aby zaświadczył, żeś tego wieczora z domu nie wyszła?

— Byli świadkowie, lecz któż teraz ma podnieść głos w mojej obronie? Ciotka nie żyje; stara Genowefa zdziecinniała i pamięć straciła, a kuzyn Jakób uciekł z kraju....

— Ależ te mitenki, te mitenki czarne, podobne do twoich, a całe krwią zbroczone, z których jedną odszukano przy zwłokach Klary, a drugą w biurku pana Loubet?

— Mitenki takie wszystkie jednakowo wyglądają. Moje robiła jeszcze ciotka najdroższa. Jakim sposobem ta jedna w biurku się znalazła, kto ją tam włożył? Nie wiem. Jest w tem jakaś straszna tajemnica. Może kiedyś ją odkryją, lecz dla mnie będzie zapóźno....

Z niemą rezygnacją głowę na piersi spuściła. Ojciec Atanazy wzniósł oczy w górę i ramiona wyciągnął ruchem rozpaczliwym.

— Przypominam sobie — Kasia dalej mówiła — że tego wieczora ktoś do naszych drzwi zastukał. Jakób pobiegł otworzyć. Gdy ja wyszłam ze światłem, stał sam jeden na progu kancelarji i odesłał mnie natychmiast. Wtedy zapewne jakaś kobieta weszła do naszego domu. Jak z niego wyszła? Kim była? Jakób jeden mógłby to powiedzieć.

— Jego świadectwo musi tę sprawę wyjaśnić. Pójdę do wszystkich sędziów, do samego prezydenta; wyrobię wstrzymanie indagacji....

— Ależ Jakób nie może powrócić do kraju. Miał pojedynek i zabił przeciwnika....

— Wielkie to nieszczęście i grzech śmiertelny. Trzeba będzie całego życia w pokucie i dobrych uczynkach spędzonego, by Boga za ten grzech przebłagać. W obec jednak sądów tutejszych, mógłby może Jakób powrócić bezkarnie. Bił się w państwie papieskiem; reskrypt zaś królewski ściga jedynie tych, na śmierć ich skazując, którzy na terytorjum francuskiem zbrodnię tę popełniają. Jeżeli rodzina pana de Lansac, nie będzie żadnych kroków czyniła, by ową sprawę popierać, z łatwością ją ubijemy. Jako świadek i jako adwokat, Jakób cię na pewno uratuje.

— Jeżeli nie ma dla mnie innego ratunku, mój ojcze, to tego przyjąć nie mogę.

— Ależ to prawie samobójstwo, moje dziecię! Ciężki to grzech przed Bogiem, nie chcieć użyć wszelkich sposobów, by życie uratować.

— A jak narażę życie Jakóba, moje ratując? Czyż Bóg może wymagać odemnie podobnej ofiary? On tak szlachetny, tak oddany tym, których kocha. Wróci na

pierwszą wieść o niebezpieczeństwie, mnie grożącem, o nic nie pytając. Któż nam zaręczy, że rodzina tego fatalnego dla nas człowieka, który najprzód uwiódł moją biedną siostrę, był przyczyną jej śmierci, a następnie zmusił Jakóba do czynu, za który śmierć mu grozi, otóż że ta rodzina nie zechce i tu nas prześladować. Ród to szlachecki, prędzej znajdzie poparcie, aniżeli my mieszczanie. Jażbym miała dla uratowania li tego nędznego życia, cześć moja bowiem tak czy inaczej przepadła na wieki, rzucić im na łup drogą głowę Jakóba? Nigdy mój ojcze!... Powiem prawdę przed sędziami.... jak ją mówię przed tobą.... a potem... dziej się wola Boża!...

— Nieszczęsne dziecię! A indagacja, a tortury?!...

— Wiem, wiem — Kasia zbladła jak chusta — i tego więcej niż śmierci się obawiam. Święta Marjo! Matko Zbawiciela! dodaj mi siły by znieść męki wszelakie i skonać z prawdą na ustach!

— Bóg nie dopuści tak wielkiej niesprawiedliwości! On cię dziecię uratuje! — zawołał mnich ze łzami w oczach i z wiarą głęboką.

Kasia powtórnie przed nim uklękła.

— Mój ojcze — mówiła z rzewną prostotą — śmierć sama wcale mnie nie przestrasza; życie obecne wydaje mi się tak nędzne i smutne... Gdy się zastanawiam nad mojem sieroctwem, wyglądam niecierpliwie chwili, mającej mnie połączyć z tymi, których tu na ziemi już nigdy nie zobaczę. Ufam miłosierdziu Bożemu, że śmierć na rusztowaniu przyjmie za grzechy moje i niebo mi otworzy... O jam szczęśliwa w porównaniu z resztą mojej rodziny. Pomyśl tylko ojcze. Moja biedna siostra zamordowana. Nie zostawiono jej chwili, by się z Bogiem pogodzić. Kto wie w jakim stanie jej dusza tam stanęła, gdzie nic skalanego wejść nie może. A Jakób, tak dobry, tak zacny, tak powszechnie szanowany, zabił człowieka.... Teraz ani w dzień, ani w nocy, spokoju mieć nie będzie.... wiecznie tajemny głos sumienia będzie mu szeptać „morderco“.... Ja zaś mój ojcze umrę niewinna, z czystem sumieniem.... ty mi jeszcze na drogę wieczności pobłogosławisz... Cóż znaczy więzienie, hańba, nawet śmierć na rusztowaniu, jeżeli niebo gotuje mi za to wszystko nagrodę.... Nie czuję w sercu dzięki Bogu! ani żalu, ani nienawiści, do tych co mnię w przepaść wtrącają; umrę ze słowem przebaczenia dla nich na ustach i oby Bóg im tak krzywdę mnie wyrządzoną przebaczył.

Twarz jej promieniała cichą rezyguacją. W jej odwadze nie było ostentacji, nie było dumy; tylko boleść głęboka a skryta, która czyniła ją obojętną na utratę życia, zaledwie rozpoczętego.

— Moje dziecię — odezwał się mnich po chwili, ze współczuciem dla tej tak wielkiej niedoli. — Więc nic tu na ziemi cię nie nęci i porzucasz ją bez żalu iskierki?

— Nic, ojcze.

— A przecie byłaś tak swobodną, szczęśliwą, przed temi okropnemi wypadkami?

Potrząsła smętnie głową i tak po krótkiem milczeniu odpowiedziała:

— Wionęło szczęście moje jak sen ułudny, dawno już, bardzo dawno... doświadczyłam smutku ciężkiego, o którym nikt wiedzieć nie mógł....

Mnich spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak, tak mój ojcze... wiele cierpiałam, a ile nocy w skrytości przepłakałam... ludzie zaś myśleli, żem spokojna i szczęśliwa.... Postanowiłam i tak świat opuścić... przed końcem roku, chciałam wstąpić do nowicjatu u panien wizytek.

— Przed końcem roku? A wszak miałaś w jesieni zostać żoną Jakóba?

— Nasze małżeństwo było niepodobnem. Jakób mnie przestał kochać.... czytałam to w jego oczach.... przymuszał się, by uczynić zadość woli rodziców, lecz serce jego dla innej biło.... Chciałam mu wrócić wolność zamykając się w klasztorze.

— Więc gotowaś mu najwyższe nieść ofiary, nawet życie twoje, byle on nie był na nic narażony?

— Tak ojcze, kocham go nad życie, nad wszystko na świecie... ostatnia moja modlitwa będzie za nim i dla niego....

Mnich powstał.

— Ale ja ci na to nie pozwalam — przerwał z powagą, jaką mu nadawał stan jego i wiek sędziwy — nie możesz bez woli Bożej rozporządzać życiem twojem. Ono do Stwórcy a nie do ciebie należy. Zeznanie Jakóba Loubet wróci cześć niewinnej i życie twoje ocali, może go dać na piśmie, zatwierdzone jego i dwóch wiarogodnych świadków podpisem. Nie potrzebuje nawet stawiać się osobiście. Ty masz jego adres?

Kasia milczała.

— Powiedz mi tylko gdzie mam go o tem co zaszło uwiadomić.

Jeszcze się wahała oczy w ziemię utkwiwszy.

— Tylko bez niepotrzebnych skrupułów, moja córko. Rozkazuję ci mów!

— A więc powiem ojcze, oddając jego bezpieczeństwo twojej przezorności i twemu sercu. Adres Jakóba u pewnego kupca w Genui nazwiskiem Pietro Filomarini. Czy twój list jednak dojdzie rąk jego? Czy zdołał przejść granicę?

— Po owym nieszczęsnym pojedynku był tutaj. Czyś i ty go widziała?

Skinęła głową potwierdzająco.

— A możesz mi dokładnie dzień oznaczyć?

— Na dwa dni przed mojem aresztowaniem.

— Więc dopiero pięć dni temu. Dotąd mandatu przeciw niemu nie wydano; tego jestem pewny. Skoro go nikt nie ściga, może się i w kraju ukrywa, czekając by sprawa jego przycichła.

— Gdziekolwiek jest mój ojcze, nakaż mu tylko. żeby nie wracał. Jego wolność, jego życie przedewszystkiem!

— Odpowiadam za jedno i za drugie. Chociaż jestem prostym mnichem, najnędzniejszym ze sług bożych, mam pewne wpływy u osób wszechpotężnych. Pójdę błagać jedną wielką panią, pełną cnót i nader bogobojną, ta się wstawi za tobą i wyjedna sprawy zawieszenie. Byle nam czasu nie brakło, a prawda musi zwyciężyć. Nie trać nadziei, co dzień cię będę odwidzał.

Mnich zapukał. Dozorca drzwi otworzył.

— Zostawiam cię z Bogiem, dziecię moje — przemówił słodko, kreśląc nad główką pochyloną krzyż w powietrzu. Co dzień na twoją intencją, Mszę świętą odprawię.

— Bóg niech ci odda stokrotnie ojcze, dobroć twoją i miłosierdzie nademną biedną!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wszystko zdawało się martwem w stronie pawilonu zwróconej ku pałacowi. Okiennica wychodząca na pole była otwartą.

Piotr, który szedł naprzód, zatrzymał się przy schodkach. Zawahał się:

— Czy wszystko to jest prawdą, coś mi pan powiedział? — zapytał z naiwną powagą starca.

— Tak, — szepnął pan de Somery, który wyprzedziwszy go, chwycił za poręcz żelazną i wszedł na schody.

— Ah! gdybyś pan mógł tego dokonać!

Piotr usunął się nieco na bok — oddalił się o kilka kroków, zajmując posterunek podobnej straży, jaką odbywał przed bramą pałacową.

Pan de Somery postąpił naprzód z energją mogącą uchodzić za brutalną, która jednakże tylko oznaką niecierpliwości była. Drżąc febrycznie nacisnął na klamkę i wszedł.

Pawilon składał się rzeczywiście z jednego tylko salonu wykładanego płytami murmurowemi. Na ścianach i na suficie były widoczne ślady dawnych ścian, które dawniej stały, aby pawilon przydatnym do zamieszkania zrobić, ale później je usunięto.

Nie był zbyt umeblowanym. Kilka krzeseł ogrodowych, kanapa pokryta persem, przypominająca jakąś upudrowaną kasztelankę, przez Blankę zrestaurowana, stół, na którym leżały pozaczynane rysunki i tom jakiejś powieści zapomniany przez pannę Dumesnil, dwie małe konsole pomiędzy oknami naprzeciw siebie z zeschłemi bukietami z kwiatów polnych; oto całe umeblowanie tej dawnej świątyni.

Sufit był malowanym, a na tle nieba bardzo podziurawionem widoczne były jakieś istoty skrzydlate, ale trudno było odgadnąć, czy to skrzydło ptaka, czy nóżka amorka, czy też skraj sukni jakiejś bogini. Reszta poodpadała lub chwiała się jak okiennice.

Pan de Somery najprzód spostrzegł panią de Moranes, siedzącą w głębi salonu przy otwartem oknie wychodzącem na pole.

Na odgłos otwierających się drzwi, obróciła się, a poznając tego, który wchodził, powstała gniewna, imponująca więcej niż zdziwiona i szybko zbliżyła się ku niemu.

— Idź pan ztąd! — rzekła spiesznie.

Pan de Somery zamknął drzwi i pomimo zakazu postąpił naprzód.

— Idź pan! — powtórzyła Wiktorja, roztwierając szeroko oczy, w których odbijała się cała jej duma.

Zdawało się, że odgadła z gestu pana de Somery, że chce się tłumaczyć ze swej obecności.

— Nic, nic pan nie mów. Nie chcę wiedzieć, dla czego, jakim sposobem pan tu przybyłeś. Jedź pan! jedź! Rozkazuję to panu. Ja tak chcę!

— Ale wpierw wysłuchasz mnie pani.

— Niczego nie potrzebuję słuchać, nic nie chcę wiedzieć, jedź pan!

Ten sam argument, który posłużył Ablowi w obec siostry i ojca, ten sam, którego pan de Somery użył, aby przekonać starego stangreta, nasunął mu się naturalnie na usta. Wszystko powtarza się w dramacie uczuć logicznie.

— Jeżeli odjadę — rzekł — to po to jedynie, aby się pojedynkować z synem pani!

— Pojedynkować się! dla czego?

Cofnęła się aż do krzesła, na które padła. Teraz matka pytała i chciała słyszeć to, czego kobieta słuchać nie chciała.

— Wyzwał mnie... chce się pomścić za ojca.

— Jeszcze i to! — zawołała Wiktorja głosem zbolałym — jeszcze i to winną panu byłam!

— Ah! nie oskarżaj mnie pani dzisiaj! — odrzekł pan de Somery, dotknięty w samo serce tym zarzutem, zrzucając całą maskę godności, w jaką twarz przybrał.

— Prawda — odpowiedziała pani de Moranes z pokorą — nie mam prawa oskarzać pana. I ja nie jestem bez winy. Tylko obecność pańska... tak blizko moich dzieci... Kto pana tutaj przyprowadził?

— Piotr, który ulitował się nademną.

— Więc i on mnie teraz zdradza? — dodała z żalem. — Ale kto panu powiedział, że jestem tutaj?

— Pan de Rosey sądził, że zanim pani odjedziesz, będziesz chciała zobaczyć swoje dzieci.

— A! jak on mnie zna! Więc pan widziałeś pana de Rosey?

— Tak, ponieważ mam list pani. Oto tu!

Pani de Moranes zarumieniła się na widok tego listu. Przypomniała sobie, jak miłe kreśliła pożegnanie.

— A więc pan de Rosey wie o wszystkiem? — zapytała zmięszana, nie myśląc o tem, że to pytanie było zbytecznem, ponieważ pisała równocześnie do sędziego.

— Tak, o wszystkiem. Wyspowiadałem się przed nim, zanim list pani odebrał... i z jego porady jestem tutaj.

— Coś mu pan powiedział?

— Prawdę.

— Całą prawdę?

— Tak, całą. On wie, że panią kocham... sądzi, że i pani mnie kochasz.

Pani de Moranes siląc się na głos surowy zapytała.

— Czyś mu pan to powiedział?

— Nie on czytał ten list i zdawało mu się...

Pan de Somery przytoczył zeń szczegóły bez dumy i próżności.

Wiktorją wzruszyły więcej te słowa niż obraziły.

— I co on sądzi o mnie? — zapytała z cicha.

— Że pani jesteś najzacniejszą, najpoczciwszą i najniesprawiedliwiej w świecie nieszczęśliwą kobietą

— Więc pozwala na małżeństwo?

— Może.

Pani de Moranes zerwała się gwałtownie. Wyciągnęła obie ręce do pana de Somery, potem cofnęła je spiesznie, zanim je pochwycił i cała drząca padła na krzesło.

— Moja córka będzie uratowaną! — szepnęła. — Ah! co za wzniosłe serce posiada ten szlachetny człowiek! Jakim ojcem będzie dla Blanki! Więc mogę odjechać? zezwala na małżeństwo?

— Powiedziałem: może!

— Prawda, więc stawia warunek; jaki?

Pan de Somery zawahał się. Usta mu drzały, chociaż starał się panować nad sobą. Nie chciał zdradzić poselstwa, jakie przyjął; chciał przytłumić i w sobie i w sercu pragnienie szczęścia, które go paliło; ale chciał najprzód zbadać wielkość poświęcenia.

Zamiast wprost odpowiedzieć, mówił dalej:

— Pani chcesz odjechać do Ameryki, wszak tak?

— Tak. Czy i to jeszcze nie dosyć daleko?

— Dla czego nie uwiadomiłaś mnie pani o tym wyjeździe?

— Zostawiłam przecież list do pana.

— Tak, ale nie robiąc mi nadziei, że będę mógł panią zobaczyć, dogonić. Jednak zdawało mi się, że zasłużyłem na to przez te dwanaście lat strasznych...

— Na co?

— A! Wiktorjo, jeżeli jest prawdą, że przyjaźń twoja odpowiadała mojej, jeżeli jest prawdą, że w chwili, gdyś miała odjechać na zawsze, litowałaś się nad moją miłością, że twoje serce się wzruszyło, powiedz mi to, zaklinam cię. Potrzeba mi usłyszeć twoje wyznanie. Przyjechałem do pana de Rosey, aby ci przypomnieć o odjeździe do Ameryki, o którym myślałaś. Sądziłem, że będę mógł w tej nowej ojczyźnie poświęcić ci życie otwarcie... że przyjmiesz to, co odrzuciłaś.

— Tam bym tak odrzuciła jak tutaj. Pojadę sama, będę żyła samotnie i cierpiała.

— Ale jabym pojechał za tobą, przekonał.

— Nie, nigdy!

— W takim razie odebrałbym sobie życie!

— Egoisto!

— Mniej niż ty Wiktorjo, bo jeżeli mnie kochasz i jeżeli poświęcasz tę miłość dumie niewieściej....

— Powiedz: sumieniu matki!

— Tak, te skrupuły chcę uszanować, zadowolić, dla tego tutaj przybyłem, ale za to czy mi na minutę, jedną minutę nie okażesz głębi serca twego, czy sobie nie zasłużyłem na to? Powiedz mi, że mnie kochasz, a pożegnam cię na wieki. Powiedz mi, że gdyby nie te dzieci, które ja także kocham.... dla których się równie jak ty poświęcam.... byłabyś moją.

Pani de Moranes zmięszana, z oczami łez pełnemi, spoglądała na niego z bolesnem przerażaniem i uśmiechem promiennym, którego ukryć nie potrafiła.

— Ach! panie de Somery jesteś okrutnym!

— Zobaczysz pani czy to z powodu okrucieństwa czynię ci to zapytanie! Przychodzę z polecenia pana de Rosey powiedzieć pani, ze trzeba, abyś zajęła w tym domu w obec dzieci i wszystkich miejsce, którego ci pan de Moranes zabronić nie może.

Wiktorja wyprostowała się sztywna i blada.

— Więc taki jest warunek?

— Taki.

— Ale to jest niemożliwem!

— Czemu? jeźli tylko pani.... my na to przystaniemy.

— I to, aby mi dodać odwagi do wejścia napowrót do domu mego męża, żądasz odemnie tego wyznania?

— Tak, chcę odebrać taką zapłatę za wygnanie, łzy i rozpacz bez końca. Tylko tym sposobem odzyskam cnotę i rezygnację, a ty droga i wzniosła istoto, przynajmniej pomyślisz czasem patrząc się na szczęście swych dzieci, że oboje równocześnie pokonaliśmy nasze serca. To będzie twoją nagrodą!

— Powiedz wyrzutem sumienia!

Przy tych słowach pani de Moranes tak wypiękniała, że zdawać się mogło, że miłość, którą odpychała jak zbrodnię, promieniała w jej oczach i zdradzała ją. Po-

wstała a jej ręce wyciągały się mimowolnie do pana de Somery. Mówiła mu „nie“ ale słodkie „tak“ cisnęło się na jej usta, przebijało w oczach i otaczało aureolą jej skronie.

Nagle odgłos kroków dał się słyszeć na schodach. Drzwi pawilonu otworzono gwałtownie. Piotr zadyszany, przerażony, drżący, wszedł do salonu i oparł się bezwładnie o drzwi. Był strasznie przelękniony.

Pani de Moranes krzyknęła przerażona.

— Co się stało? — zapytał pan de Somery, przystępując do stangreta.

— Abel... pan Abel... — bełkotał stary sługa. — Zobaczył pana de Somery... poznał go... idzie tu... biegłem... już nie mogę... otóż i on!

W istocie po za stangretem, który zapewne biegł przez zarośla, aby przybyć prędzej, Abel de Moranes stanął na progu.

Wiktorja instynktem wiedziona, cofnęła się w głąb framugi okna ze złożonemi rękoma, Pan de Somery postąpił naprzeciw młodego człowieka.

Abel zatrzymał się, a zakładając ręce, wyrzekł:

— Więc się nie omyliłem! to istotnie pan, dotrzymujesz słowa.

— Lepiej niż pan sądzisz!

Pan de Somery podniósł bladą twarz z dumą i godnością, czem zaambarasował swego młodego przeciwnika.

— Ale — dodał — nie dajesz mi pan czasu do ukończenia dzieła... Pomóż mi pan przecież; potem mnie pan zabijesz, jeźli chcesz tego.

Pan de Somery ustąpił się na bok i wskazał na panią de Moranes. Abel nie spostrzegł jej wprzódy, bo stała w cieniu... Postąpił naprzód, drżąc cały, potykając się (każde wzruszenie upaja) z oczami pałającemi, z otwartemi usty.

Matka wyciągnęła doń ręce.

Szarawe światło jesiennego poranku, wkradające się z tylnych okien do owej szarej sali, otaczało jasnemi promieniami tę postać i rozlewało się wewnętrznem światłem na tej pięknej, rozpromienionej twarzy.

Abel wydał okrzyk dziwny, bez słów; tchu mu zabrakło; nie śmiał nic wyrzec, aby to zjawisko nie znikło na imię matki. Padł w objęcia pani de Moranes i przez kilka minut słychać było tylko płacz, jęk, urywane słowa radości tych dwojga istot szczęśliwych i będących w szale zachwytu.

Wreszcie Abel pierwszy przyszedł do siebie. Wdzięczność wielka ogarnęła go za to nagłe i niespodziewane szczęście, ogień prawdziwej radości rozniecił ją.

— Matko moja! — mówił — to ty, naprawdę ty! Blanka się nie myliła? Czemużeś prędzej nie przybyła? Na cóż ta żałoba, którą nosimy w sercach od tak dawna? mów... niech twój głos usłyszę!

— Synu mój! — szepnęła matka.

— Tak, to jej głos! znajduję cię, matko moja! moja matko!

Ściskał ją z okrzykami radośnemi i pieszczotą słodką.

Pan de Somery uśmiechał się aby łzy ukryć. Piotr płakał nie zdolny do uśmiechu.

— Zkąd przybywasz, matko? — pytał Abel. — Gdybym był wiedział, gdzie się ukrywasz, od dawna byłbym cię wyszukał, przyprowadził do siostry... Wczoraj już gotów byłem do tego. Blanka zaraziła mnie swoją wiarą... Pójdę, powiem, jej że jesteś tutaj... Ona odzyska siły, aby przybiedz tutaj. Zostanie uzdrowioną twoim widokiem.

Pan de Somery wmięszał się do rozmowy:

— Matka wasza już was nie opuści — przemówił łagodnie.

Abel zadrżał. Zapomniał o człowieku, którego chciał zabić. Zwrócił się ku niemu nie rozbrojony jeszcze zupełnie, ale zawstydzony i przepełniony wdzięcznością.

— Panie! — mówił pan de Somery — pani de Moranes przebacza przeszłości, która była niesprawiedliwą dla niej. Ma prawo wejść z podniesionem czołem, oparta na ramieniu syna, do tej rodziny, w której miała prawo pozostać. Na mój honor...

— O nie mów pan więcej! — przerwał Abel błagalnie. — Nie potrzebujesz bronić przedemną matki. Czyż ja ją obwiniam?

— A więc zaprowadź ją natychmiast do pałacu.

— To niemożebne!

— Czyż nie mówiłam tego — szepnęła z bolesnym uśmiechem pani de Moranes, spoglądając na pana de Somery.

— A jednak tak być musi! — odrzekł tenże — tak jak panna Blanka musi zostać panią de Rosey.

— To niemożebne — powtórzył Abel zgnębiony — niemożebne dziś przynajmniej. Ojciec podejrzywa, że matka jest gdzieś blizko. Od dwóch dni znajduje się w takim stanie, że obawiałbym się o niego, obawiałbym się o matkę... Pan nie będziesz chciał, żeby się powtórzyła ta scena straszna, która tym razem groziłaby śmiercią... Blanka umarłaby. Nie chcę, żebym miał odzyskać matkę na to, aby wybierać pomiędzy nią, którą uwielbiam, a ojcem, którego żałuję, szanuję, kocham... Nie, nie! nie myśl pan o tem!

— A jednak tak być musi — powtórzył pan de Somery, blednąc coraz bardziej i którego twarz surową jak marmur się stawała.

— Zaręczam panu, że możemy obawiać się gniewu, który może się stać gwałtownym... Ah! tym razem zostalibyśmy podwójnie sierotami.

— Tak być musi! — powtórzył jeszcze raz zimno pan de Somery. — Tylko, że nie pan pójdziesz o tem uwiadomić pana de Moranes, lecz ja.

— Pan?!

— Zabije cię! — krzyknęła Wiktorja.

Krzyk ten wstrząsnął panem de Somery i odbił się błyskiem w jego oczach.

— Wolę przez niego być zabitym niż przez jego syna!

Abel zaprzeczył gestem, poruszeniem.

— Zresztą nie obawiam się, abym i tym razem został zabity. Pozwólcie mi na ten krok. Idzie tu i o mój honor... Zostań pan z matką... Piotrze zaprowadź mnie.

Abel znów się poruszył, aby powstrzymać pana de Somery, ale tenże już próg przestąpił i był na schodach. Zeszedł spiesznie i zwrócił się czemprędzej w stronę pałacu.

XVII.

Pan de Moranes był w swoim gabinecie, zostawiwszy doń drzwi otwarte. Zawsze chronił się w tem miejscu, które w całym pałacu jedynie mu miłem było, bo tutaj był sam z sobą. Dziś był bardzo niespokojnym, potrzebował nowych niezwykłych myśli, nie chciał się zamykać, bo chciał, aby każdy mógł wejść do niego skoro tego zapragnie.

Duszę jego dręczył ów ucisk, którego doświadczają ludzie uczeni, co nie znając wymogów światowych i nagle zetknąwszy się z niemi, lękają się prawie zabobonnie, że na każdym kroku potknąć się mogą.

Nie mógł się zapytać wprost starego stangreta, lecz wiedział doskonale, że Piotr musi być wspólnikiem pani de Moranes; że ją wprowadził owej nocy aż do pokoju córki, że jeszcze mógłby ją tam zaprowadzić; to też uczony nie chcąc być oszukiwanym, czuwał ze źle hamowaną złością, wychodząc co chwila do sieni, spoglądając na schody, nasłuchując, patrząc oknem w stronę dziedzińca, przerażony, oczekując jakiejś niespodzianki.

Nie obawiam się, abym ubliżył jego charakterowi, gdy powiem, że położył na biurku broń, aby mieć ją pod ręką, już nie starożytną, ale nowoczesny rewolwer, nie myśląc wcale jak jej użyje, przeciw komu, odgrywając mimowoli rolę jakiegoś sinobrodego mściciela, gotowego do gwałtu, który złość jego usprawiedliwiała.

Piotr prowadząc pana de Somery, przejął się spokojną odwagą tego poświęcającego się człowieka; był dumnym, że wprowadza tego bohatera.

Gniewał się na niego przez te lat dwanaście, ale tylko dla tego, że dotąd pan de Somery nie starał się nigdy spełnić tego, co teraz zamierzał. Prosta logika starego sługi znajdowała ten krok zupełnie naturalnym. On tryumfował, że koniec będzie taki, o jakim marzył. Chciał sobie przypisać cokolwiek zasługi w tym czynie śmiałym, więc gdy wstępował na schody ganku, wyprzedzając pana de Somery, wyprostował się, zaczerpnął świeżego powietrza, zacisnął usta, może dla tego, aby nie drżały i krokiem pewnym wszedł do gabinetu.

Pan de Moranes zdziwił się tą jego postawą.

— Cóż tam? — zapytał wyniośle.

— Coś nowego! — odrzekł Piotr z uśmiechem, który mimowoli zawitał mu na usta. Wiedział jak ma się zachować, ale nie wiedział jakich słów stosownych użyć. Ów uśmiech okazywał tę nieudolność.

Pan de Moranes zmarszczył czoło.

— Wizyta do pana barona! — mówił dalej stary sługa i spiesznie wymienił nazwisko przybyłego.

Pan de Moranes zerwał się gwałtownie, odepchnął Piotra i stanął naprzeciw pana de Somery w sieni.

— Co pan żądasz odemnie? — zapytał głosem ochrypłym ze złości.

— Chcę mówić z panem!

— Nie chcę nic słyszeć. Idź pan! idź precz; wypędzam cię!

Uczony miał pianę na ustach; zaciskał pięści, a jego twarz zarumieniła się purpurowo. Bohaterstwo pozorne Piotra zachwiało się w obec tej groźby jego pana, zaczął się trząść i spoglądał na pana de Somery spojrzeniem niejako mówiąc:

— Czyż panu nie powiedziałem, że on jest nieubłaganym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

POŻAR W NICEI.

Co tydzień prawie telegraf przynosi nam z zagranicy wiadomość o jakiemś wielkiem nieszczęściu, lub senzacyjnym wypadku, w którym i mienie i życie ludzkie pada ofiarą...

Trzęsienie ziemi w Casamicciolі, ukropne *auto da fe* na kostjumowym balu w Monachjum, pożar olbrzymiego magazynu *au Printemps* w Paryżu, a teraz wreszcie eksplozja gazu w teatrze nicejskim, w przeciągu miesiąca zapełniły kronikę nieszczęść ludzkich i smutku.

Ostatni wypadek pod względem ofiar przewyższa inne i dlatego opowiemy go szczegółowiej według informacyj bawiących na miejscu rodaków naszych, świadków tego okropnego pożaru...

Teatr miejski w Nicei stoi w jednej z bocznych ulic, o jakie sto kroków oddalony od morza; jak wszystkie po większej części teatra włoskie, składa się on z lóż na pięciu piętrach i z parteru.

Budynek sam od dawna już domagał się restauracji i przeróbki, wejścia miał wązkie, korytarze niewygodne, schody także wązkie, w ogóle urządzenie całe niewygodne i nieodpowiednie; wewnątrz pomieścić się mogło około 4000 osób.

W ostatnich latach dyrekcję miał niejaki Bolognini, a znany *impresario* Strakosch gościł tam z licznem i dobranem towarzystwem śpiewaków i śpiewaczek, na których czele stała Bianca Donadio; w przyszłym tygodniu zjechać miała Krystyna Nilsson, ale przed czasem kontrakt rozwiązała.

Katastrofa zdarzyła się przed przedstawieniem galowem opery Donizettiego „Łucja z Lamermooru“, po godzinie ósmej...

Według jednych pożar wszczął się od jednej z bocznych kulis, według drugich od pęknięcia rury, doprowadzającej gaz do sufitowych lamp na scenie.

W pierwszej chwili przerażenia przyszła komuś szalona myśl do głowy podnieść kurtynę; jednocześnie rozległy się ze sceny krzyki: „gore, ratunku“!

Skutkiem przeciągu powietrza po podniesieniu kurtyny ogień rozszerzył się z błyskawiczną szybkością po całej scenie, obejmując łatwo zapalne przedmioty.

Publiczność w panicznym przestrachu rzuciła się ku wyjściu i zaparła, tłocząc się, drzwi; szczególniej widzowie na galerji w rozpaczliwem znajdowali się położeniu, gdyż tylko jedno wejście prowadziło na wązkie schody!

Na wyższych piętrach też panował większy tłok, dalsze i droższe miejsca nie były jeszcze zapełnione tak licznie, bo publiczność doborowa zwykła się spóźniać do teatru i to ją tym razem uratowało od nieszczęścia.

Popłoch zwiększył się jeszcze bardziej, gdy nagle ciemność zaległa cały amfiteatr; mechanik teatru wpadł na ten nieszczęśliwy pomysł, aby przykręcić krany u gazometru i zgasić wszystkie lampy!

Gaz nie skutkiem eksplozji, jak to przypuszczano, ale nagle powstrzymany w rurach zgasł; zamiast zmniejszenia pożaru zwiększyło się dopiero nieszczęście, bo przerażona publiczność unosząc życie, w szale i rozpaczy straciła przytomność i pociemku zeczęła jeszcze bardziej gnieść się, ratować, łamać sobie żebra i błądzić w kurytarzach ciemnych i krętych bez wyjścia...

Wśród tego popłochu mnóstwo ludzi znalazło śmierć przez uduszenie.

Ze sceny łatwiej było umknąć i wydostać się na wolność, dlatego z pośród chórzystów, artystów i służby teatralnej o wiele mniej osób poniosło uszkodzenia.

Donadio była ubraną w kostjum, gdy się pożar rozpoczął; zdążyła jeszcze uratować się ze swej garderoby, ale z przerażenia nabawiła się nerwowej gorączki...

Tenorzysta, który z nią śpiewać miał tego wieczora, stał się pastwą płomieni; zapaliły się na nim suknie, a o ratunku w ciemności nawet mowy być nie mogło.

Bas-buffo nazwiskiem Cartani, padł uduszony dymem w samych drzwiach, kiedy za chwilę miał się już wydostać z płomieni.

Trupa jego w kostjumie Rajmunda Bidebent'a, którego partję spiewać miał tego wieczora, odwieziono potem wraz z innymi do pobliskiej katedry...

Zamięszanie na scenie miało być okropne; jedną z chórzystek żywcem rozdeptano na ziemi, dwie inne spaliły się na węgiel.

Pożar rozszerzył się tak szybko, że o ratunku i pomocy nawet pomyśleć nie było można; ci, co mieli miejsca w parkiecie, ratowali się jeszcze sami, ale wszyscy z wyższych piątr w okropnem znajdowali się położeniu.

Gryzący dym, zaduch, gorąco nie do wytrzymania, czad gazu, płomienie syczące, krzyk piekielny, jęki i wołania!...

Istne piekło dantejskie!...

Ci, którzy zdołali wydostać się z góry, znaleźli na dole zatłoczone kurytarze i wyjścia, przez publiczność z parteru uciekającą.

Wiele osób w rozpaczy i szale uśmierciło się własną ręką, widząc, że niema dla nich nadziei ratunku i pozostaje tylko śmierć w płomieniach...

Sceny miały być przerażające do głębi, których słowo ludzkie opisać nigdy nie potrafi!

Wśród tej okropnej katastrofy zdarzały się jeszcze tragiczne epizody; tu ojciec rodziny, na widok swych uduszonych i konających dzieci rzuca się głową na dół z ostatniego piętra, bo nic mu już na ziemi nie zostało; tam znów trzy nieszczęsne ofiary, ojciec matka i dziecko, w śmiertelnym uścisku zdrętwiało, a dym i czad udusił wszystkich...

Dziecię trzymało jeszcze w rączkach pomarańczę.

W jednej z lóż cała rodzina prezesa izby handlowej z Avignonu, p. Bus'a, pięć osób razem, poniosła okropną śmierć.

Opowiadają, iż z widzów na ostatniej galerji zaledwie dziesięciu uszło z życiem.

W godzinę po wybuchu pożaru cały teatr stał się pogorzeliskiem, kupą dymiących gruzów, w których śmierć zagrzebała resztki ofiar.

Pomiędzy temi znajdowało się wiele dzieci...

Jakiś lekarz niemiecki Arendt-Schilling, padł ofiar własnego poświęcenia i humanitarności; ratował bliźnich, wydzierał ich z płomieni, ale przy tem szlachetnem dziele sam padł uduszony dymem i poparzony płomieniami...

Widok płonącego gmachu, pomimo strasznej grozy, miał być wspaniały...

Płomienie wysoko w górę strzelały; jak kopuła czerwona wśród nocy czarnej piętrzyły się ponad ciemnemi murami, wśród których syk tysiąca ognistych węży zagłuszał wołania rozpaczy i głosy nieszczęśliwych.

Cały płonący teatr odbijał się niby w olbrzymiem zwierciadle, w morzu...

Gdy wiatr zdmuchnął chwilami kłęby dymu, widać było w jasno uilluminowanych oknach czarne sylwetki ludzkich postaci, które szukały tędy wyjścia i ratunku...

Wielu ważyło się na rozpaczliwy skok z wyższych piętr i padało z połamanemi członkami na bruk krwią zlany.

Pierwsi z ratunkiem przybyli majtkowie eskadry wojennej, stojący u brzegów w niedalekiej przystani; udało się im wyratować wielu, ale właściwa pomoc przybyła późno, bo dopiero w trzy kwadranse po wybuchu katastrofy.

Przez całą noc gaszono tlejące ruiny i wydobywano ciała ludzkie.

O godzinie 3-ciej nad ranem na pięciu wozach zaczęto wywozić trupy do pobliskiego kościoła, w których żywych i umarłych składano na razie.

Okropne musiały się dziać sceny przy rozpoznawaniu ciał, zeszpeconych, poranionych, zmienionych w okropny sposób przez walkę śmiertelną z rozszalałym żywiołem.

Jakaś nieszczęsna żona, która poznała trupa swojego męża, zabiła się na miejscu...

Po większej części ofiarą nieszczęścia padły osoby z klasy roboczej, uboższej.

Oprócz sześćdziesięciu kilku ciał wydobytych z pod gruzów. przeszło 100 osób odniosło mniej lub więcej ciężkie uszkodzenia.

Poszukiwania dalsze wykażą zapewne jeszcze liczniejsze straty.

Zajęto się losem rodzin osieroconych; cały ruch towarzyski, wszystkie zabawy i rozrywki zostały wstrzymane, składki płyną obficie.

Donadio, jedna z pierwszych, przesłała 1000 franków; tyleż złożył Maurycy Strakosch, który odniósł kilka lżejszych skaleczeń na twarzy i ramionach, Krystyna Nilsson drogą telegraficzną przeznaczyła 2.000 fr. na zapomogę.

W sobotę odbył się pogrzeb 60-kilku osób przy udziale całej prawie Nicei.

Całe nieszczęście przypisują dzisiaj nieoględnej i lekkomyślnej municypalności.

Teatr jest własnością miasta i pozostaje pod władzą i opieką magistratu, a ten czujny magistrat nicejski pozwolił na to, aby pęknięte rury gazowe zalepiono cementem, zamiast zmienić je i odnowić; gaz uchodził już od dawna; tego samego dnia po południu zauważano, że gaz uchodzi, mimo to nie użyto żadnych odpowiednich środków, aby temu przeszkodzić i eksplozji uniknąć.

Uwolniony z głównych rur gaz zbierał się u sufitu, pomiędzy dekoracjami i kulisami, a gdy zapalono lampy — przyspieszono tylko wybuch, który był nieuniknionym skutkiem opieszałości służby i dyrekcji teatralnej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.